

Maksymilian

Jeszcze dalej, aż do horyzontu, zaczynało się ugrowo-szare królestwo kamieni, gdzie nie widać było śladu życia. (...) Od niepamiętnych czasów po suchej, zdrapanej aż do kości ziemi tego niezmiernego kraju, wędrowała nieustannie garść ludzi, którzy nie posiadali nic, ale nie służyli nikomu, nędzni i wolni władcy dziwnego królestwa.

Albert Camus

Było około godziny osiemnastej. W pokoju panował lekki, odprężający chłód czerwcowego popołudnia. Po dziewięciu godzinach nieznośnego dla ciała i duszy upału, który z morderczą konsekwencją – metodycznie wręcz – stapał, i tak już wyschnięte ludzkie członki, asfalt i ciężki od spalin horyzont w jedną, trudną do opisaną masę, nadchodziły chwile, które z oddechem oazy, wstrzykiwały w żyły świata morfinę senności i ukojenia. Lekki, melodyczny szum listowia drzew kołysał do drzemki tych, którzy powrócili już z pracy, oraz tych nieszczęśników, którzy w biurze lub innym miejscu, walczyli jeszcze zaciekle z nieubłaganą konsekwencją natury czasu.

Blok. Przez otwarte na oścież okno, wpadały do pokoju promienie słońca, tnąc z chirurgiczną precyzją mgiełki srebrzystego kurzu i niczym złota farba, rozlewały się na ścianie, zmieniając jej kolor. Zdawało się, że ta prozaiczna iluminacja jest czymś więcej, a niżeli tylko grą światła. Płynące nieprzerwanie minuty zmieniały powoli złotą już ścianę w ociekającą pomarańczem powierzchnię, uwydatniając jej nierówności. Maksymilian stał nieruchomo opierając się lekko o parapet. Jego kształtna głowa o regularnych rysach zwrócona była w stronę przestrzeni, znajdującej się za oknem. Twarz chłopca pokrojona cieniem framugi okiennej, wyrażała skupienie i oczekiwanie. Maksymilian nostalgicznie patrzył na stojący naprzeciw niego blok. Jego wyblakło-pomarańczowy tynk, zdający się parować gorącym nagromadzonym do rana, lśnił teraz blaskiem dawnego koloru. Ale w miejscu gdzie ściany łączyły się z dachem, blok zaczynał krwawić. Czerwień powoli spływała w dół, topiąc w sobie okna i wnętrza mieszkań. Ludzie chronili się przed nią opuszczając srebrne żaluzje tak, jakby bali się, że pochłonie ich i zmieni kolor ich skóry. Wtedy właśnie następował błysk. Słońce odbijało się od srebrnych żaluzji. Było to jak wystrzał pozbawiony huku. Kąciki ust Maksymiliana, które przez cały ten czas pozostawały w idealnie równoległym położeniu względem siebie, prowokowane jakimś wewnętrznym impulsem, unosiły się ku chudym, pozbawionym ciepła policzkom, tworząc coś na kształt uśmiechu. Istotnie, był to uśmiech Maksymiliana – prawdziwy i niewymuszony przez nikogo. Rzadki, ale przy tym tak pierwotny, niezmacony i dziewiczy, że próżno było takiego szukać gdzie indziej. Maksymilian wiedział, że to, co dla niektórych zwiastuje nadejście wieczora, wymuszając w nich wykonanie kolejnego szeregu zaplanowanych przez życie czynności, dla niego, dla jego skromnej, zagubionej w oświetlonym pokoju istoty, stanowiło teatr, do którego wstęp miał tylko on. Nie dlatego, że czuł się wybrany czy lepszy, ale dlatego, że czuł się odrzucony, rozpaczliwie samotny. Czekał na swoje codzienne katharsis. Pragnął tego oczyszczenia całym sobą. Wiedział, że niedługo niebo powoli z dumą i profesjonalizmem zawodowego aktora, zrzuci z siebie kostium czerwieni by zagrać dla niego kolejny akt sztuki. Wiedział też, że zza owego bloku, napłynie teraz bezkres zieleni, który z naturalnym wdziękiem będzie gęstnieć, ciemnieć i wreszcie jako noc w odbłaskach fleszy włączanych ulicznych latarni, czekać na oklaski tak długie i gromkie by znów móc się zarumienić. Czekał i patrzył. „Jak pięknie” – powtarzał sobie w myślach – „jak pięknie”. W tym momencie jednak, jego usta przeszył grymas. Poczł bowiem, że te słowa, których z

nieopisaną wręcz egzaltacją używał Detlev Spinell – bohater jednego z opowiadań jakie Maksymilian ostatnio przeczytał, a które wywarło na nim wielkie wrażenie – w owej sytuacji skażone są banalnością i toporną tendencyjnością. Zdawał sobie z tego sprawę, ale potrafił zastąpić ich niczym innym, dlatego zdarzało mu się, iż w natłoku nieświadomych myśli, zwrot ten zdołał odnaleźć sobie drogę do świadomości Maksymiliana, wymuszając pierwszeństwo wśród innych reakcji. Sądził, że w chwilach dla niego szczególnych, uśmiech, a w zasadzie coś na kształt uśmiechu, było wystarczającą nagrodą dla obu stron. W tej sytuacji Maksymilian nagradzał niebo oklaskami uśmiechu i sam czuł się, można powiedzieć – szczęśliwy.

– Synu – rozległ się przeszywający ciszę głos matki. – Pójdiesz ze mną do sklepu? – zapytała wychodząc z przeciwległego pokoju.

Maksymilian nie odpowiadał. Wpatrzony w rozgrywającą się przed nim sztukę, resztkami świadomości próbował rozpaczliwie pozostać na widowni. Wiedział, że za parę sekund ją opuści. Wstanie ze swojego miejsca w pierwszym rzędzie. Mimo to grał na czas.

– Maksymilianie! – nieco głośniejszym głosem zwróciła się do chłopca, stając za jego plecami.

– Tak mam? –

– Pytałam czy pójdziesz ze mną do sklepu? Co ty właściwie robisz? Już od ponad godziny stoisz przy tym oknie.

– Nic. Nic takiego nie robię.

– Właśnie o to mi chodzi, że nic, ale to nic kompletnie nie robisz! – Jej ton nie łagodny. Z każdym kolejnym słowem czuć było coraz większe pretensje, których nie potrafiła albo nie chciała już ukrywać. Była kobietą z natury łagodną, wyważoną o dyplomatycznym charakterze. Zdarzało jej się czasem w rzadkich chwilach słabości siadywać w fotelu i nerwowo pocierać kciukami o opuszki palców, ściskając przy tym wargi w nieco komiczny grymas. Stan ten, jednak szybko przechodził i spokojna już, wracała do swoich codziennych zajęć, by wśród nich ostatecznie pojednać się z myślami, osiągając w ten sposób zadawalający kompromis z samą sobą. Ale tym razem było w niej coś wrogiego. Coś, co Maksymilian wyczuwał już od pewnego czasu, a czego przyczynę upatrywał w sobie.

– Całymi dniami przesiadujesz w domu, albo błąkasz się samotnie nie wiadomo gdzie. Wciąż tylko czytasz! Wpatrujesz się w okno! Mam wrażenie, że jesteś nieobecny.

– Lubię czytać. Czy jest w tym coś złego?

– Nie jestem głupia! – krzyknęła. – To, co przynosisz, to nie są książki, których potrzebujesz by zdać maturę!

– A co to jest?

– Stek bzdur rujnujących twój umysł, zabierających ci czas, który powinieneś przeznaczyć na naukę. Wiesz, że od tego jak wypadniesz na egzaminie, zależy twoja przyszłość. Myślisz, że dziś ludzie płacą takim jak ty za czytanie bredni albo rozmyślanie bóg wie o czym! – była już wzburzona i oboje poczuli zaskoczenie jej zachowaniem. Maksymilian nie parzył na nią, ale wyczuwał jej nerwowy trik. Ona zaś kończąc ostatnie zdanie, nie myślała o niczym innym jak o tym, że poddała się gwałtownemu uderzeniu krwi.

– Pójdę z tobą do sklepu – odpowiedział chłodno. Te słowa jakby ją orzeźwiły. – Muszę tylko założyć szorty. Poczekaj na mnie chwilę.

– Dobrze.

Ociężałym krokiem przypominającym chód rybaka wracającego z nieudanego połowu do domu – w którym gromadka dzieci i otyła żona czekają by zasiąść do wspólnego stołu – powlókł się w stronę smukłej szafy, z której wyciągnął spodenki. Nie robił tego dla niej. Robił to dla siebie, aby zagłuszyć wyrzuty sumienia. Był w końcu jej coś winien. Miała prawo do tej krótkiej chwili – metafizycznego spaceru, podczas którego zapatrzonego w chodnik przechodzień, rzuciwszy krótkie spojrzenie w ich stronę, mógłby pomyśleć, że są szczęśliwi, że są sobie bliscy. W rzeczywistości od dawna nie mieli ze sobą

dobrego kontaktu. Ich drogi powoli rozchodziły się i tylko fizyczna bliskość wymuszona przez pięćdziesiąt sześć metrów kwadratowych mieszkania, trzymała klamrami to coś, co ona nazywała rodziną, on zaś przytakiwał na to określenie, choć w zasadzie było mu ono zupełnie obce. Oboje zdawali sobie z tego sprawę, ale grali. A w zasadzie ona grała. Była aktorem i reżyserem. Wyznaczała sobie rolę kochającej matki, pisała scenariusz i odgrywała go. Maksymilian był statystą. Pozwalał sobie przesuwac, przebierać. Był częścią dekoracji prawdziwego domu, w którym oprócz sprzętów, mebli, religijnych obrazków, byli jeszcze ludzie. Czasami zastanawiał się czy matka naprawdę go kocha. – „Pewnie tak.” – myślał. Ale był to dla niego osobliwy wyraz miłości, niezgodny z jego wyobrażeniem. On też kochał matkę. Kochał, bo wszyscy synowie kochali swoje matki. Tak trzeba, bo taki jest świat. Prawdziwa miłość była dla niego czymś innym – doznaniem głębszym niż codzienne stawianie talerza z zupą czy męczące, przyprawiające o zawrót głowy pytania o samopoczucie. Dla Maksymiliana miłość była sztuką. W jego mniemaniu, przypominała proces tworzenia dzieła artystycznego, w którym najważniejsze są: zrozumienie, wycucie, a także umiejętność rezygnacji – wycofania się z podjętego działania. Jego wyobrażenie idealnego uczucia dalekie było od prawa posiadania, które nadawało szlachetnej miłości tyrańskiego charakteru. Miłość to wolność kochania wolnych od siebie istot, które spaja ze sobą właśnie poczucie wolności.

Droga do sklepu dłużyła się niemiłosiernie. Nie było daleko, ale atmosfera między Maksymilianem, a matką była w tym dniu tak ciężka, że kroki stawały się wolniejsze. Oddychający gorącym powietrzem chodnik, zwęzał się i wydłużał jednocześnie, zbliżając rozkołysane wysokim ciśnieniem wątle sylwetki ku sobie na tyle blisko, że ocierały się o siebie w milczeniu.

– Myślałeś już o studiach? – zapytała matka. Jej głos przeciął jednostajny dźwięk szelestu liści. – Twoi koledzy na pewno coś postanowili.

– To nie są moi koledzy!

– A kto? Może mi to wytłumaczysz?

– Ludzie, którzy uśmiechają się do mnie tylko dlatego, że w domu powiedziano im, że trzeba kochać bliźniego, niezależnie od tego jaki jest. Codziennie przed snem czytają im porady z broszurki dla początkujących katolików, by nazajutrz mogli bawić się św. Franciszka.

– Co ty za bzdury wygadujesz?!

– To prawda. – rzekł ospale.

– A Tomasz?! Przecież się przyjaźnicie.

– Tomasz jest skończonym głupkiem. Prostolinijnym, tępowym chłoptasiem, któremu ojciec wynagradza wysokim kieszonkowym każdy trud jego egzystencji. Przyjaźni się ze mną tylko dlatego, że tylko przy mnie może choć przez chwile poczuć się lepszym niż jest w rzeczywistości. Tylko ja pozwalałam mu pielęgnować jego i tak dojrzały już, i bujny egocentryzm. Wreszcie, tylko ja zgadzam się udawać, że mu zazdroszczę, że go podziwiam.

– Myślałam, że go lubisz?

– Jest mi zupełnie obojętny – powiedział. Maksymilian był już zmęczony tą nierozwiniętą jeszcze rozmową. Wiedział doskonale, że i tak matka go nie zrozumie. Kto jak kto, ale ona na pewno nie postara się wyteńczyć, swych kalek od tanich pisemek, szarych komórek, aby spróbować choć otrzeć się delikatnie o tok jego rozumowania. Matka Maksymiliana była kobietą, która już młodości otaczała się kordonkiem znajomych. Nie przeszkadzały jej ich nie do końca szczere wrzaski. Ważne, że mogła być wśród ludzi. Nie znaczy to, że z każdym potrafiła nawiązać nić porozumienia. Wręcz przeciwnie. Wśród jej, jak to określała – przyjaciół – byli i tacy, z którymi nie zamieniła nawet słowa. Lubiała jednak ludzi i tyle. Maksymilian wiedział to, dlatego nie chciał wdawać się w próżne i skazana z góry na zagładę, już w swej pierwotnej postaci, dysputy o jego samotności. W istocie – był samotnikiem. Kiedyś próbował nawet wmawiać sobie, że tak nie jest, ale z czasem zdał sobie sprawę, że ludzie go męczą. Szczególnie

ich apodyktyczność. Chęć narzucania za wszelką cenę, swojego „ja” – „Apodyktyczność to chyba wrodzona cecha człowieka.” – myślał często. On nie chciał, a już na pewno nie pragnął narzucać się nikomu. Drżał jak dziecko kiedy jego umysł serwował mu czasem obrazy, w których zmęczeni jego osobą ludzie, daremnie – podobni do Syzyfa – szukali wszelakich wymówek by uwolnić się od jego wątlej struktury, od jego mimiki, gadania, od skrzypiącego natłoku dźwięków jego pustych i bezsensownych słów. Maksymilian widział ludzi w książkach. Było to dziwne. On był zatem dziwakiem. Mimo wszystko było mu z tym chyba dobrze. Książki pozwalały Maksymilianowi na rozmowę, którą w każdym momencie mógł przerwać bez żadnego powodu. Pozbawiony pretensjonalności dialog między Maksymilianem a autorem dzieła, nie wymagał gry. Był wolny od wyjaśnień, wolny od niepotrzebnych, drażniących pytań. Był sztuką, artystycznym konwersatorium. Książka go nie męczyła. W każdej chwili mógł ją przecież odłożyć na półkę i wziąć inną. Było to jego królestwo.

– Nie będę wnikać w te twoje dziwactwa – odrzekła stanowczo, wyrывая Maksymiliana z jego myśli i jakby na ich potwierdzenie dodała – Nie mogę cię zrozumieć.

– A próbowałaś kiedykolwiek?

– Nigdy mi na to nie pozwoliłeś. Od kiedy pamiętam, zawsze byłeś, byłeś... – nie mogła skoordynować przyspieszonego oddechu wywołanego marszem z artykulacją słów.

– Dziwny?!

– Zamknięty w sobie. Tylko ojciec potrafił z tobą rozmawiać. Wiedział jak to robić. W każdym razie tak sędzę.

– Wiedział, bo potrafił odsunąć na bok to coś, co ty z taką namiętnością nazywasz życiem. On był. Zawsze był. Wiedział kiedy być. – W tym momencie Maksymilian przypomniał sobie frazę z jednej z książek, która ostatnio przeczytał. I choć zawsze kiedy o niej myślał, zdawała mu się ona okrutną maksymą, teraz, na potrzeby owego przedstawienia, użył jej z pełną premedytacją. – Tata wiedział, rozumiał, bo życie było dla niego czymś więcej niż kalejdoskopem codziennych wrażeń z powtarzania tych samych czynności. On szukał w nim czegoś więcej. On – tu zawahał się chwilę – On szukał w życiu tej jednej maleńkiej igły ukrytej w sianie. Całą resztę uważał za żarcie dla osłów. Matka spojrzała na niego pełna rezygnacji. Prawdopodobnie nie zrozumiała, o co mu chodzi. Maksymilian wyczuł to dzięki swojej przenikliwości. – „Może to i dobrze, że nie rozumiała” – pomyślał, ale spojrzał na nią. Jej wzrok gonił szalenie ku skrzyżowaniu ulic, jakby coś niezwykłego tam się działo. Oczy już dawno opuściły ciało pozostawiając je na pastwę instynktu, który miał je prowadzić ku przeznaczeniu. Nagle powróciły. Lekko roziskrzona, przesłonięta mgłą spojrzały na ułamek sekundy w stronę Maksymiliana.

– Co ty możesz wiedzieć o życiu? – zdawało się, że zadała mu pytanie, ale nie oczekiwała już odpowiedzi.

– Nic.

– Właśnie.

– Nic. – powtórzył. – Bo to nie jest mój świat. Mnie w nim nie ma. Ja oddycham bryzą mojego królestwa. Potem była już tylko cisza. Drzwi sklepowe, tak zwyczajne w swym istnieniu, półki wypchane towaram, kolejka, kasa, nieuprzejma ekspedientka i znów te same drzwi, tyle że widziane od drugiej strony – analogia bólu. Wracali w milczeniu. Przypominali dwuosobową karawanę zmierzającą w stronę oazy. Maksymilian niósł w rękach dwie, pokaźne siatki wypełnione żywnością i chemią. Na dworze ciemniało. Niebo było piękne jak zawsze.

Obudził go odgłos spadającej książki. Drgnął. Spoglądając nieprzytomnie na abstrakcyjną od cieni ścianę, wspiął się na łokciach. Była godzina dwudziesta trzecia siedemnaście. Elektroniczny zegarek z niemiłosierną dokładnością konduktora wskazywał czas, co do minuty. – „Musiałem porządnie podrzemać” – pomyślał. Przetarł zaspane oczy i usiadł na łóżku. Zdawało się, że sam nie mógł uwierzyć w to, że tak spokojnie i niewinnie przespał spory kawał czasu. A jednak. Od kiedy Maksymilian stracił

ojca, sen jakby o nim zapomniał. Kładąc się co dzień do łóżka wiedział, że nie uśnie prędko, o ile w ogóle uda mu się usnąć. Leżał, a Morfeusz z uporem obrażonego dziecka, nie przychodził do niego. A kiedy już łaskawie przybył, robił wszystko, aby sen Maksymiliana nie był spokojny, a jednocześnie zbyt długi. Tym razem było inaczej. – „Dlaczego?” – uparcie zadawał sobie to pytanie w myślach. Drażzył zaszufladkowane w pamięci, wszystkie wydarzenia ostatnich dni, godzin, minut poprzedzających ten sen. Nie dostrzegał w nich jednak nic nadzwyczajnego. Nic, co mogłoby mieć tak wielki wpływ na jego rozchwianą i tak już do granic możliwości fizjologię. Zrezygnowany stwierdził w końcu, że musiał być po prostu bardzo zmęczony. W jego głowie brzmiało to jak teza przegranego detektywa, który by zamknąć wreszcie ciężącą mu sprawę, przyjmuje najbardziej zadawałające go w tym momencie fakty i dowody, które układają się w miarę logiczną całość, a które jednak do końca go nie przekonują. Zapalił lampkę. Chciał napić się kawy, ale pragnienie przegrało z jego wolą – kuchnia wydała mu się zbyt daleko, by w ogóle podjąć próbę udania się do niej. Opadł bezwładnie na łóżko. Powoli przymknął powieki. W retrospekcji tysięcy obrazów, pojedynczych słów wirujących mu w głowie, w tej niemożliwie ciężkiej i przytłaczającej mozaice dostrzegł w końcu coś, co dziś chciał poddać pod warsztat rozmyślań. Była to jego rozmowa z matką na temat ojca, a w zasadzie nie tyle ten konkretny dialog, co sama postać ojca. Maksymilian rzadko go wspominał. Może dlatego, że tak mało chwil spędzili wspólnie, a może nie chciał, by wspomnienie tej jedynej osoby – która tak bardzo kochała, i która potrafiła kochać jego – stało się czymś powszednim, oczywistym. Czymś, co pozwalało szybciej zasnąć. Wspomnieniem, które poprzez swoją wyjątkowość, zabijało dłużące się godziny. Dla Maksymiliana rozmyślania o ojcu były swoistym sacrum. Ex voto, które składał na ołtarzu swojego królestwa.

Tym razem Maksymilian skupił się najpierw na wyglądzie ojca. Przeraziła go myśl, że choć od śmierci minął zaledwie rok, jego fizjonomia coraz bardziej zamazywała się w jego pamięci. Ale były też cechy ojca, które Maksymilian pamiętał bardzo dobrze. To podłużna, śmiejąca się twarz, błękitne skupione oczy i dłonie – duże i silne – dłonie, które ojciec tak często kładł mu na ramionach, a których Maksymilian oczekiwał z ekscytacją. Dłonie, które spajały ich rodzinę w swoistą jedność, łącząc izomorficzne charaktery w jeden żywy organizm. Dłonie spracowane w ogrodzie nadziei, harujące ponad normę by wyhodować kompromis na tyle bogaty, by wyżywił troje tak różnych dusz. Chciał poczuć ich zapach raz jeszcze. Zapach życia, w którym zanurzone były te dłonie aż po łokcie. „Tato” – pomyślał, – „Gdybyś mógł być teraz tutaj. Na chwilę przyjść w swoim długim płaszczu i położyć go na krzeselku. Usiąść na wersalce i patrzeć na mnie. Patrzeć tak przenikliwie jak tylko ty potrafisz i odgadywać moje myśli. Albo chociaż patrzeć. Nic więcej. Nic. A ja bym patrzył na ciebie. Tylko tyle. Po co więcej?” – uśmiechnął się lekko. Przejechał dłońmi po twarzy jakby chciał przed samym sobą ukryć szklistą mgiełkę, która przesłoniła mu oczy. Ciepło tego wspomnienia rozlewało się spokojnie po wszystkich zakamarkach jego ciała. Krążyło w nim jak balsam.

– Tato. Czy istnieją głupie pragnienia?

– Nie ma głupich pragnień Maks. Są tylko głupi ludzie, którzy porzucają je zbyt szybko, przerażeni ich ciężarem.

– Bo ja chciałbym iść – zastygł na chwilę. – Iść przed siebie. Porzucić wszystko. Nie mieć nic. Ale czuć na twarzy ten powiew wolności. Wiesz o co mi chodzi.

– Chcesz podążać przez swoje królestwo?

– Tak tato. – Maksymiliana nie zastanowiło, skąd ojciec wie o jego królestwie. Było to coś tak naturalnego i oczywistego. W tym porozumieniu dusz wytworzył się kanał, którym swobodnie, nieskrępowane niczym myśli krążyły między jedną świadomością a drugą.

– Opowiedz mi o nim. – odrzekł z powagą ojciec.

– Moje królestwo – zaczął Maksymilian – to królestwo sztuki. Ja jestem jego władcą i zarazem największym nędzarzem w nim żyjącym. Nie mam nic, bo nic nie potrzebuję. Co dzień się go uczę choć tak naprawdę ciągle niewiele o nim wiem. Codziennie przemierzam je metr za metrem, kilometr za

kilometrem. Idę, biegnę to znów idę. Buduję, tworzę, niszczę by znów coś stworzyć. Nie mam nic, lecz ciągle jestem w ruchu. I jestem silny by ten ruch trwał. Nikt mnie nie może zatrzymać. Odwrotnie. To ja wstrzymuje przyszłość i uruchamiam przeszłość. Wykrawam z teraźniejszości chwilę, która powróci w przyszłości w kształcie jaki tylko zapragnę.

– Czy w tym świecie jest też rzeczywistość? – pytanie to wybiło Maksymiliana z jego rytmicznej opowieści.

– ... Nie! – odpowiedział lekko zirytowany.

– Dlaczego?

– Bo ten świat nie zrozumie mojego.

– A ty próbowałeś go zrozumieć?

– Po co?

– Żeby móc połączyć go ze swoim królestwem. By mogło się rozrastać. Żyjesz tylko wiatrem swojej wyobraźni. – Spojrzenie ojca stało się bardziej głębokie. – Czy ty pragniesz iść przez swoje królestwo czy uciekać synu? – zapytał.

– Iść.

– To dlaczego do tej pory nie poszedłeś? Nie porzuciłeś domu, szkoły, nas i nie wyruszyłeś w podróż? Dlaczego? – Maksymilian patrzył w skupieniu na ojca. Czuł, że powoli jego słowa obdzierają go ze zewnętrznej otoczki, pozostawiając na scenie nagiego, złężnionego chłopca.

– Odpowiem ci dlaczego – ciągnął z benedyktyńska łagodnością ojciec. – Nie wyruszyłeś, bo nie pragniesz iść, ale chcesz uciec przed światem, którego ty nie chcesz spróbować zrozumieć. Twoje królestwo jest usprawiedliwieniem twojej nieśmiałości. Nie chcesz rozmawiać z ludźmi, bo usilnie szukasz w nich siebie – swojego odbicia. Nie chcesz, bo nie potrafisz.

– Po prostu nie godzę się na to wszystko. – przerwał Maksymilian.

– Nie o to chodzi, że by godzić się na wszystko. Chodzi o to, żeby z tego wszystkiego wybrać to, co ci najbardziej odpowiada.

– Męczy mnie to wszystko. Mam dosyć codzienności. Mam dosyć wszystkiego.

– Wszystkiego nad czym nie panujesz?

– Wszystkiego poza moim królestwem. Chce odejść. Obudzić się pewnego ranka i ruszyć w drogę.

– A więc zrób to. – powiedział wyrozumiale. – Tylko obiecaj mi jedno.

– Co takiego tato?

– Że odejdziesz kiedy będziesz naprawdę gotowy.

– Obiecuję.

Twarz miał zalaną łzami. Na dworze zaczynało powoli świtać. – „Dlaczego akurat ta rozmowa?” – pomyślał. Nie zdążył jednak zastanowić się nad tym dłużej gdyż do pokoju weszła matka. Zignorował ją spojrzeniem. Nie zauważyła tego, lecz w zamian zapytała czemu nie śpi. Maksymilian już myślał, że czeka go kolejny wykład dotyczący jego nocnego zamiłowania do lektury i kiedy szykował swą świadomość na przyjęcie pierwszych słów matki, ta wyłączając lampkę, wyszła z pokoju. Odetchnął. – „Może dziś jest ten moment” – pomyślał. „– Jestem przecież gotowy. Po co ma dłużej czekać”. Maksymilian wstał i zaczął pakować swoje rzeczy. Dyskretnie, jakby wstydził się własnych ruchów, wyciągał po kolei koszulki, bieliznę, spodnie. Matka spała. Dziś miała wolne. Maksymilian wślizgnął się do łazienki. Umył się i ogolił. Pomimo, że był samotnikiem dbał o swój wygląd. Słońce zaczęło rozpalać się powoli. Zapowiadał się gorący i duszny dzień. Maksymilian w pośpiechu zjadł siadanie i wszedł do pokoju matki. Spojrzał na nią. Leżała niewinnie jak dziecko, przykryta po szyję kołdrą. Jej spracowane powieki kryły przepelnione goryczą oczy, które tylko w nocy miały okazje uciec od trosk i problemów. Spała. Kobieta, która wydała go na świat – cierpiał dla niego, kobieta która kochała go przecież, może po swojemu, ale jednak – nie była teraz zupełnie świadoma tego, że gdy się obudzi, coś, co do tej pory było dla niej tylko strasznym snem, okaże się rzeczywistością. Patrzył na nią w spokoju. W końcu przeniósł

wzrok z jej postaci na pokój. Nie znał go dobrze. Było to miejsce tajemnicze. Od kiedy zostali we dwoje, rzadko tu wchodził. Było to królestwo jego matki. Tak różne od jego królestwa. Świat, który w żaden sposób nie mógł nawet próbować nałożyć się na jego rzeczywistość. Wszystko tu było inne. A jednak w jakiś sposób należało też do niego. Uciekał od tych myśli. Nie chciał tego rozważać. W końcu zostawiając ostatnie spojrzenie na uśpionej matce, odwrócił się w stronę drzwi i wyszedł. Nie zostawił żadnego listu. Nie podarował jej ani jednego słowa. Uśmiechu. Wiedział, że jest jej to winien. Odszedł. Po prostu odszedł. Tak, jak się odchodzi.

Blok. Rozświetlony słońcem pokój zamykał sobą niczym akwarium, kilkadziesiąt metrów sześciennych rozgrzanego, rozkołysanego powietrza. Upał był nieznośny. Rzadkie powiewy wiatru przywracały zrezygnowane marzenia o ukojeniu, które miało nastąpić wraz z nadejściem wieczora. Maksymilian stał wpatrzony w przestrzeń znajdującą się za oknem. Niebo było jednostajne i piękne jak zawsze. Z dołu dobiegał nieprzerwany wrzask dzieci bawiących się na trzepaku. Ich energia zdawała się wypływać z jakiegoś nieskończonego źródła. Matka była w pracy. Mieszkanie tonęło w spokoju. Tylko od czasu do czasu, w tych samych rurach dał się słyszeć ten sam dźwięk. Maksymilian miał dwadzieścia jeden lat. Parę dni wstecz zdał odstani egzamin. Zwyczajnie tak, jak zdaje się egzaminy i był już na kolejnym roku studiów.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Conrad, dodano 21.12.2010 09:11

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.